płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15 · VIII · 1987 | 15

WSP

Fot. Roman Kamiński

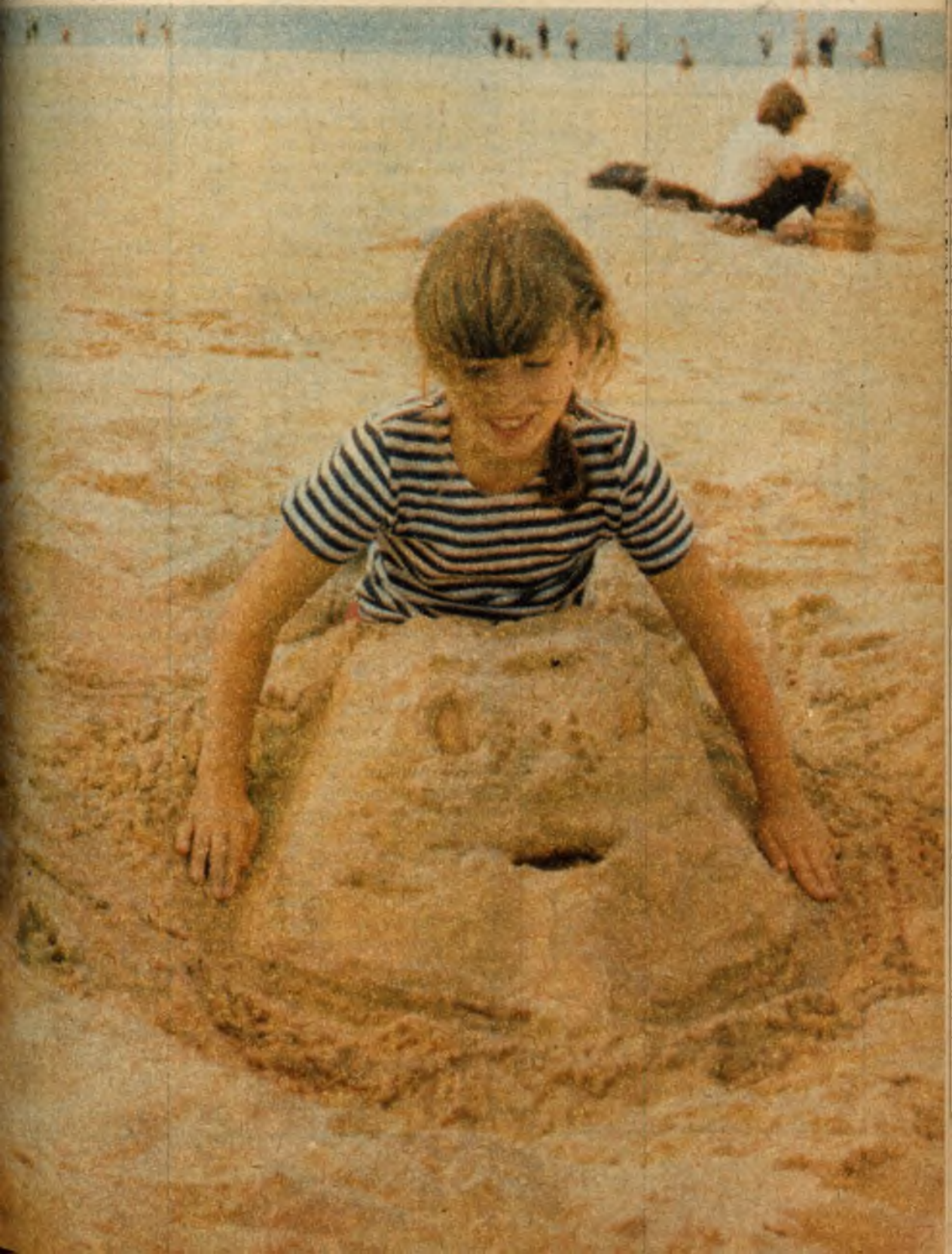

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

Drogowskaz w ZOO

— Ma straszny katar!

— Halo! Kto wypuścił strusia z klatki?!

● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ●

W FINLANDII wprowadzono z początkiem 1987 r. zakaz wyrobu i sprzedaży zabawek o tematyce wojennej. Podobny zakaz w sąsiedniej Szwecji obowiązuje już od 10 lat.

●

W ZATOCE PERSKIEJ znajduje się niewielka wyspa, zbudowana z czystej soli, nadającej się do spożycia. Wyspa jest całkowicie pustynna i nie zamieszkana. Odwiedzają ją jedynie Arabowie, którzy od setek lat biorą stamtąd sól.

●

W DANII sprzedaje się mleko w tabletkach. Wystarczy tylko taką tabletkę rozpuścić w odpowiedniej ilości wody, aby otrzymać pełnowartościowe mleko, przy małej ilości wody zaś — śmietanę.

●

NAD JEZIOREM Kiwu w Afryce podzwrotnikowej wznosi się wulkan. Podczas jego wybuchu ognista lawa wlewa się do jeziora nagrzewając wodę do 100°C. Kiedy wulkan się uspokoi, okoliczni mieszkańcy wybierają z jeziora ugotowane ryby. Uczta trwa przez kilka dni.

FRANCUZI mówią najszybciej. Jak obliczono, wypowiadają oni 350 sylab na minutę. Drugie miejsce w tej statystyce zajmują Japończycy (310 sylab), a trzecie Niemcy (250 sylab). Najwolniej mówiącymi ludźmi są mieszkańcy Polinezji, Malazji i Mikronezji, wypowiadają oni zaledwie 50 sylab w ciągu jednej minuty.

●

DELFINY — ssaki morskie, uznane zostały przez naukowców za najinteligentniejsze zwierzęta. Są one niezwykle „gadatliwe". Wydają mnóstwo dźwięków — świszczą, piszczą, pogwizdują, szczekają, buczą itp. W delfinarium w Batumi (w ZSRR), próbowano delfiny uczyć mówić. Po piętnastu miesiącach ćwiczeń najzdolniejszy uczeń, imieniem Elwar, zaczął wydawać dźwięki podobne do mowy ludzkiej, jednak przypominały one tylko „gaworzenie" małego dziecka.

●

BADANIA angielskich laryngologów wykazały, że chrapanie bywa niekiedy bardzo głośne, może osiągnąć poziom 69 decybeli. Hałas przy pracy świdra pneumatycznego wynosi 70—90 decybeli.

Nasza okładka:

Coś się dzieje w piasku

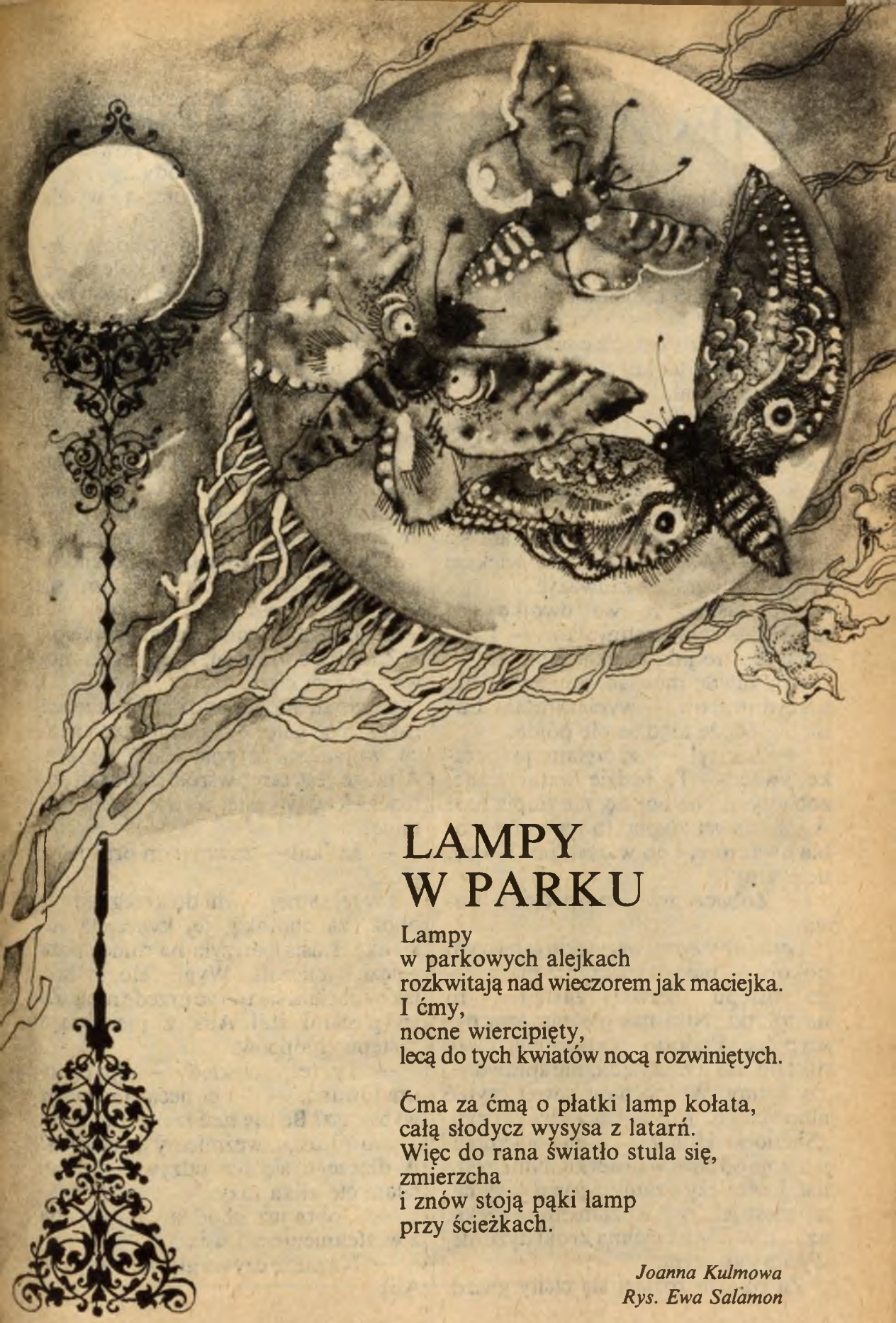

LAMPY W PARKU

Lampy
w parkowych alejkach
rozkwitają nad wieczorem jak maciejka.
I ćmy,
nocne wiercipięty,
lecą do tych kwiatów nocą rozwiniętych.

Ćma za ćmą o płatki lamp kołata,
całą słodycz wysysa z latarń.
Więc do rana światło stula się,
zmierzcha
i znów stoją pąki lamp
przy ścieżkach.

Joanna Kulmowa
Rys. Ewa Salamon

UCIECZKA

Najładniejszą ze wszystkich dziewczyn na kolonii była Lusia. Przyjaźniłyśmy się obie i ogromnie byłam z tego dumna. Pewnego razu przed obiadem Lusia odwołała mnie na bok i powiedziała:

— Chcę dziś zwiać z ciszy poobiedniej. Popilnuj na korytarzu, żeby nikt mnie nie złapał.

— A dokąd? — spytałam.

— Nie powiesz nikomu? Nad rzekę — odparła Lusia.

— Ojej, to ja też! — zawołałam. — Weź mnie z sobą!

— Czy ja wiem... — zmieszała się Lusia. — We dwójkę jest większe ryzyko. Mogą nas zauważyć.

— Właśnie, że we dwójkę jest łatwiej — zaprotestowałam. — I weselej. No, to jak, uciekamy?

— Prawdę mówiąc, jeszcze się nie zdecydowałam — wymamrotała Lusia. — Może nigdzie nie pójdę...

— Coś ty! — zaczęłam ją przekonywać. — To będzie fantastyczne, zobaczysz! Nie bój się, nie złapią nas! A jeśli nawet złapią, to najwyżej zrobią awanturę, i po wszystkim! No co, uciekamy?

— Zobaczymy — powiedziała Lusia.

I oto już leżymy wszystkie w naszym pokoju — pięć dziewczyn z pierwszego zastępu. Pierwszy zastęp — to nastolatki. Nikt nas nie zamęcza dyscypliną. Podczas poobiedniej ciszy nikt do nas nie zagląda, nie sprawdza, czy śpimy. Wolno nam nawet czytać albo cicho rozmawiać. Irka czyta „Sherlocka Holmesa", Jula kontempluje swoje odbicie w lusterku, Nina pisze list, Lusia leży z zamkniętymi oczyma, ale rzęsy jej drżą. Rozumiem — czeka, aż za drzwiami ucichną kroki dyżurnej wychowawczyni.

Za oknem rozległ się cichy gwizd. Wyjrzałam, ale nikogo nie dostrzegłam. Lusia podniosła się z łóżka, przeciągnęła leniwie i rzuciła w powietrze:

— Pójdę się napić wody...

Spojrzała na mnie z ukosa i wyszła z pokoju.

Przez chwilę leżałam spokojnie, żeby nie budzić podejrzeń koleżanek, potem zerwałam się i, nie mogąc wymyślić nic lepszego, bąknęłam:

— Ja też pójdę się napić...

Lusi na korytarzu nie było — to znaczy, że jest już w zagajniku i czeka na mnie. Wspięłam się więc na parapet, a stamtąd po drabince przeciwpożarowej ześlizgnęłam się na dół. Rozejrzałam się, ale nikt mnie nie gonił. Kolonia na dwie godziny pogrążona była we śnie. Przecięłam wąską dróżkę, oddzielającą teren kolonijny od lasu, i zagłębiłam się w gęstych zaroślach.

— Luśka! — zawołałam szeptem.

Żadnej odpowiedzi. Zawołałam znowu. Znowu cisza.

Gdzie się mogła podziać? Poczęłam rozgarniać gałęzie dzikiego bzu i akacji, zajrzałam za pnie starych sosen. A może jest tam, wśród młodych sosenek, leży w gęstej trawie i czeka na mnie?

— Luśka! — zawołałam prawie na głos.

I w tej samej chwili dostrzegłam tuż obok, za choinką, jej kwiecistą sukienkę. Lusia patrzyła na mnie spoza gałęzi i milczała. Wyglądało to tak, jakby chciała się ukryć przede mną. Za jej plecami stał Alik z pierwszego zastępu chłopców.

— Ty też uciekłeś? — spytałam uradowana. — To ci heca! Gdzie się wybierasz? Bo my nad rzekę. Pójdziesz z nami? Luśka, weźmiemy go ze sobą? A dlaczego się nie odzywałaś? Wołałam cię kilka razy.

— Dobra już, chodźmy — odparła z westchnieniem Lusia.

— Na plażę czy na głębię? — spytał Alik.

Na plaży jest dogodna, szeroka mielizna, gęste wierzby nad wodą. Ich srebrzyste, giętkie gałęzie tworzą cieniste altany, a w dziuplach można się ukryć. Ale na plażę prowadzą nas codziennie, kiedy jest tylko ładna pogoda, bo rzeka jest w tym miejscu wąska i płytka. Co innego głębia! Nawet przy samym brzegu nie można tam dosięgnąć dna, a rzeka jest tu dwukrotnie szersza niż przy plaży, brzeg zaś wysoki i urwisty. Na głębię zabroniono nam chodzić.

— Jasne, że na głębię! — odparłam.

Ruszyliśmy więc, najpierw leśną ścieżką, całą w plamach od słońca, potem przez świeżo skoszoną łąkę. Iść na bosaka było niewygodnie, powłóczyłam nogami, żeby ostre, krótkie źdźbła trawy nie kaleczyły mi stóp. Słońce przypiekało, pachniało świeżym sianem.

Czułam się odważna i przybiegła jak Mowgli z „Księgi dżungli". Korciło mnie, żeby wleźć na drzewo, pojechać wierzchem na panterze, a już w najgorszym wypadku spotkać kogoś z wychowawców, którzy rzuciliby się za nami w pościg, uwieńczony naszym całkowitym zwycięstwem.

Lusia i Alik wlekli się powoli i nie wiadomo czemu, wciąż zbaczali z drogi, tak że musiałam się zatrzymywać i czekać na nich.

— Chodźmy szybciej! — popędzałam ich. — Straszną mam ochotę się wykąpać!

— To idź — powiedział Alik. — My cię dogonimy!

— Jeszcze czego! — obruszyłam się. — To nie po koleżeńsku!

I chociaż korciło mnie, żeby ruszyć pędem, zwolniłam kroku i resztę drogi szłam obok nich.

A oto i głębia. Obie z Lusią zrzuciłyśmy sukienki, pozostając w specjalnie założonych na tę okazję kostiumach kąpielowych, i zanurzyłyśmy się w czystej, nagrzanej słońcem, roziskrzonej wodzie. Alik skoczył z urwistego brzegu i popłynął kraulem. Ja pływałam na boku, a Lusia po piesku. Alik krążył koło niej i żartował sobie z jej stylu.

— Chodź się ścigać! — zaproponował jej.

Ale Lusia była zmęczona. Wyszła z wody i usiadła na miękkiej trawie nad brzegiem.

Pływałam lepiej od Lusi. Być może, udałoby mi się prześcignąć nawet Alika. Zaproponowałam mu zawody, ale powiedział, że mu się odechciało. Wyszedł na brzeg i siadł obok Lusi.

— Mieliśmy szczęście, co? — zawołałam, rzucając się na trawę tuż przy nich. — Może jutro też spróbujemy?

— Może... — odparł Alik bez entuzjazmu.

— A gdyby tak przychodzić tu codziennie? — zapaliłam się. — Co wy na to? Możemy jeszcze kogoś zabrać ze sobą! Im więcej nas będzie, tym weselej! Moglibyśmy nawet zakraść się do pobliskiego ogrodu i narwać grochu!

— Idę o zakład — przerwał Alik — że nie przepłyniesz na tamten brzeg i z powrotem bez odpoczynku!

— Nie przepłynę?!

Zerwałam się na równe nogi. Teraz dopiero pokażę Alikowi, jak umiem pływać!

— No, to patrz!

Skoczyłam do wody i popłynęłam. Czułam za plecami pełny uznania wzrok Alika, toteż starałam się płynąć nie tylko szybko, ale i ładnie — bez pryskania i hałasu. Przy drugim brzegu zawróciłam, nie dotykając dna, i ruszyłam z powrotem. Słońce świeciło mi prosto w oczy, przeszkadzało mi patrzeć — ale myśl o tym, że Alik widzi mnie i zachwyca się moim stylem, napawała mnie dumą.

Kiedy dotarłam do brzegu, byłam już porządnie zmęczona.

— No i co? — zawołałam z tryumfem. — Na czyje wyszło?

— Ale drugi raz ci się nie uda.

Założysz się? — powiedział Alik.

— Przepłynę!

— Łatwo powiedzieć!

Popłynęłam znowu. Do tamtego brzegu szło mi jako tako, ale w drodze powrotnej machnęłam na wszystko ręką i popłynęłam, jak mogłam. Zapierało mi dech, opiłam się wody, w uszach mi dzwoniło — tam także dostała się woda. Coraz to usiłowałam szukać nogami dna, ale bezskutecznie, a odległość do brzegu zdawała się nie zmniejszać. Spięte pod chusteczką warkocze były mokre, bo kilka razy zanurzyłam się z głową. Teraz po powrocie na kolonię mogli mnie od razu nakryć, ale już o tym nie myślałam.

Płynęłam ostatkiem sił. Jedna tylko myśl utrzymywała mnie na powierzchni — że z brzegu patrzą na mnie Alik i Lusia, zdumieni moją wytrzymałością.

Dotknęłam stopami grząskiego, mulistego dna i przez chwilę stałam bez ruchu, ciężko dysząc, niezdolna wydobyć z siebie głosu. Potem drżącymi ze zmęczenia rękami uczepiłam się nadbrzeżnej trawy, z wysiłkiem wspięłam się na brzeg i poszukałam wzrokiem Alika.

— Widzisz, że przegrałeś? — zawołałam, wciąż jeszcze z trudem łapiąc oddech, ale czując pełnię tryumfu z odniesionego zwycięstwa. — Widziałeś, jak przepłynęłam bez odpoczynku tam i z powrotem? I co ty na to?

Alik siedział zwrócony plecami do brzegu i mówił coś szeptem do Lusi. Odwrócił ku mnie głowę.

— Już jesteś? — zapytał. — No, to płyń jeszcze raz!

Zdrętwiałam. Wszystko wokół od razu jakby straciło barwę — rzeka, trawa, niebo, nawet słońce. Wciągnęłam sukienkę wprost na mokry kostium i rzuciłam się do ucieczki. Sukienka mi przemokła, ale było mi to obojętne — byle tylko jak najprędzej zniknąć im z oczu!... Uczucie upokorzenia było tak wielkie, że cieszyły mnie nawet mocne ukłucia trawy o bose stopy. Płakałam ze wstydu, że nie domyśliłam się wcześniej... i odgrywałam żałosną rolę natrętnego intruza.

Nie kryjąc się prawie, wyszłam z zagajnika, wspięłam się po drabince przeciwpożarowej i wślizgnęłam do swego pokoju. Jula i Nina spały, Irka na chwilę uniosła wzrok znad „Sherlocka Holmesa" i czytała znowu. Zdjęłam sukienkę, która zdążyła już wyschnąć, rzuciłam się na łóżko i naciągnęłam na twarz prześcieradło, aby nikt nie widział mojej zapłakanej twarzy.

Anna Mass

Przełożyła z rosyjskiego Danuta Wawiłow

Rys. Zdzisław Byczek

TU KWITŁY KROKUSY

To już trochę za późno,
więc ze smutkiem w oku
szukam i szukam,
tu kwitł kiedyś
krokus.

Na łąkach sianokosy
i siano pachnie zewsząd...
Ciężkie pszczoły w kwiatach
muzykują,
brzęczą...

Jeszcze lasy zielone
i klon się nie czerwieni,
ale w niebie już tyle
złotych wróżb
jesieni.

Tadeusz Kubiak

SMRECZYŃSKI STAW

Przedzierały się dzieci
w górę, po kamieniach.
Zgrzane i zmęczone.

Ciągle las i prócz lasu nic nie ma.

Nagle spojrzały olśnione:
Smreczyński Staw zadumany,
pośród świerków ukryty.
Zamknął w sobie
nieba trochę i skaliste szczyty.

Magdalena Ficowska-Łuszczek
Fot. Stanisław Gładki

TATRZAŃSKA BALETNICA

Spójrz mamo
zielona kozica
śmiga przez zbocza
jak baletnica
leciuteńko z wdziękiem
na turnie się wspina
nad przepaścią
szybuje niby ptak

Patrz mamo
jak ona tańczy
na strzelistej
estradzie Tatr

Cicho syneczku
to nie kozica
to podhalańczyk

Tadeusz Charmuszka
Fot. Adam Siwczuk

Wiersz nagrodzony
w Konkursie
im. Stanisława
Ryszarda Dobrowolskiego
w 1986 r.

NIESPODZIANKA

Któregoś dnia wracając znad rzeki Inka zobaczyła, że z małego fiata wysypuje się przed ich domem cała czwórka gości: ciotka Lola z trojgiem dzieci.

— Chcieliśmy wam sprawić niespodziankę — uśmiechnęła się promiennie do mamy — szalenie jesteśmy ciekawi waszego gospodarstwa.

— Oto ono — mama wskazała graty złożone pod jabłonią i dom w budowie.

— Jakże tak? Dopiero się budujecie? Myślałam, że odziedziczyliście zabudowania w komplecie.

— Nie odziedziczyliśmy niczego. Mój ojciec żyje.

— Doprawdy? Myślałam, że nie przetrzymał operacji.

— Mogłaś dowiadywać się o jego zdrowie.

— Przecież wiesz, jaka jestem wrażliwa! Nie mogę wprost słuchać o chorobach i śmierciach. Ale bardzo się cieszę, naprawdę. Powiedz tylko, gdzie nas umieścisz?

— Na długo?

— Tylko na miesiąc.

— Przykro mi. Sami śpimy w namiocie.

— Och, to cudownie! Dzieci na pewno są zachwycone!

— Jeśli masz namiot, rozbijcie go w sadzie.

— Moje dzieci są za delikatne, żeby spać pod namiotem. Możemy zamieszkać u sąsiadów.

— Zapytaj ich, czy się zgodzą.

— Jaaa? — zdziwiła się ciotka Lola potrząsając blond lokami. — Chyba to twój obowiązek. Przecież do was przyjechaliśmy w odwiedziny.

Mama westchnęła i poszła do Marysi. Ciotka Lola wyciągnęła tymczasem z malucha mnóstwo bambetli. Dzieci rozbiegły się, każde w inną stronę.

Najstarszy Jarek wlazł na strych. Jego młodszy brat Cyrus zniknął za bramą podwórka. Malutka Kleopatra

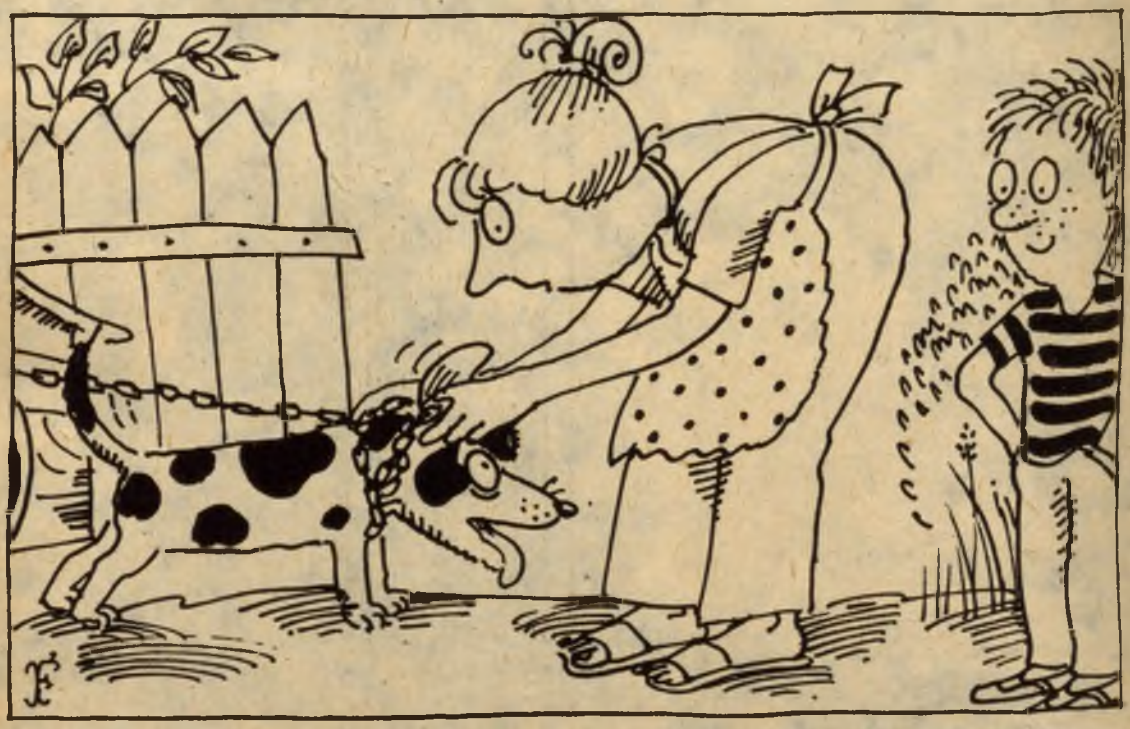

dobrała się do miski, w ktorej przed chwilą mama ucierała ser na leniwe pierogi, i zajadała go całymi łyżkami.

— Ładnie tu u was — uśmiechnęła się anielsko ciocia Lola, — Co prawda, trochę inaczej to sobie wyobrażałam, ale jakoś przebiedujemy. Czy nad Dunajcem można się opalać? Macie plażę?

— Same kamienie — burknęła Inka.

— Tatuś mógłby chyba przywieźć kilka fur piasku i wysypać na brzeg.

— Tatuś ma co innego do roboty.

— Och, twój tatuś jest taki dzielny! I to już od małego dziecka. Pamiętam, jak się mną opiekował...

— Tatuś mówił, że ciocia jest od niego starsza o dziesięć lat.

— Naprawdę tak żartował? Kawalarz z niego... — Znowu uśmiechnęła się promiennie, widząc że mama nadchodzi w towarzystwie Marysi. — No i co? Załatwione?

— Niech pani pozwoli do nas. Damy wam jedną izbę. Ale tam są tylko dwa łóżka.

— Nie szkodzi, nie szkodzi. Na jedzenie mogę chyba liczyć u mojej miłej bratowej? Bo wie pani — zwróciła się do Marysi — ja w ogóle nie mam pojęcia o gotowaniu, a już w takich cygańskich warunkach — wymownie wskazała ręką — chyba wszyscy pomarlibyśmy z głodu.

— Zwłaszcza Kleopatra — powiedziała mama z przekąsem.

Nagle z podwórka doleciał przeraźliwy jazgot Miłka. Mama się zaniepokoiła. Pies wprawdzie swoim krzywdy nie zrobi, lecz przedwczoraj rozdarł spodnie listonoszowi. Rozejrzała się dookoła.

— Jeden na strychu, drugi, zdaje się, wszedł na podwórze — odparła pogodnie ciocia Lola. — Zobacz, kochanie, czy Cyrusowi nic się nie stało?

Mama już biegła ku bramie. Marysia powstrzymując śmiech zapytała:

— Czemuż pani dała dzieciom takie cudaczne imiona: Kleopatra, Cyrus... Nigdym o takich świętych nie słyszała.

— Bo też to nie byli święci, tylko królowie. Kleopatra władała Egiptem, a Cyrus Persją. Każdy kulturalny człowiek o nich wie.

— Nam się też chyba dadzą we znaki, choć możeśmy niekulturalni — odparła urażona Marysia. — Niech pani weźmie swoje tłumoki i przyjdzie do chałupy, bo szkoda czasu na gadanie. Muszę iść w pole.

Podczas gdy ciotka Lola stąpając godnie na wysokich obcasach taszczyła bagaże do sąsiadów, mama musiała ratować biednego Miłka, któremu Cyrus omotał szyję łańcuchem. Ilekroć pies się szarpnął, łańcuch zaciskał się ciaśniej, dusił go, wrzynał się w skórę. Mama drżącymi rękami rozplątała stalowe ogniwa. Dopiero gdy Miłek położył się u jej nóg dysząc chrapliwie, odwróciła się do Cyrusa i powiedziała przez zęby:

— Niegodziwiec!

Cyrus zaśmiał się głośno i w podskokach pobiegł do matki.

Danuta Bieńkowska
Rys. Jerzy Flisak

(Fragment z książki pt. „Śmieszny pomysł". Powieść zostanie wydana przez I. W. „Nasza Księgarnia")

JURATA KRÓLOWA BAŁTYKU

W głębinach Bałtyku znajdował się kiedyś wspaniały pałac, zbudowany z bursztynu, w którym zamieszkiwała królowa morza — piękna Jurata. Otoczona boginkami, panowała nad wszystkimi stworzeniami. A ponieważ serce miała dobre, krzywdy najmniejszej zrobić im nie pozwoliła. Toteż służyły jej wiernie nie tylko dwórki-boginki, ale łososie i węgorze, szproty i śledzie, dorsze i makrele, jednym słowem, cały podwodny świat.

Nic też dziwnego, że wzburzyła i poruszyła nią do głębi wiadomość o jakimś młodym rybaku, co to sieci zarzuca i jej rybom zagraża.

— Ta zuchwałość musi być ukarana — powiedziała do swoich boginek. — Nawet ja, królowa podmorskiego państwa, na życie najmniejszego szprota bym się nie targnęła, przeto nie pozwolę, aby uczynił to człowiek. Zwabimy zachwalca w morskie odmęty i tu go srodze ukarzemy. Płyńmy więc na spotkanie z tym, który moje prawa naruszył!

Wsiadła piękna Jurata do bursztynowej łodzi, boginki zaś do łodzi z wielkich muszli zrobionych, i skierowały się ku brzegowi.

Jakże zdziwił się młody rybak, gdy najpierw usłyszał śpiew tkliwy dochodzący z oddali, a potem dojrzał wynurzające się z morza łodzie. Siedziały w nich dziewczęta tak urodziwe, że o sieciach zapomniał i oczu od nich oderwać nie mógł. A szczególnie od tej, która w bursztynowej siedziała łodzi i słała mu obiecujące uśmiechy.

Młody rybak nie pozostał na nie obojętny i również szczerym uśmiechem odpowiedział. Uroda młodzieńca zrobiła tak wielkie wrażenie na Juracie, że chęć zemsty zgasła momentalnie w jej sercu i zakochała się w rybaku.

— Jestem Jurata, królowa Bałtyku — rzekła doń. — Przybywam tu, żeby cię ukarać za to, że spokój mego królestwa naruszyłeś i po moją włas-

MUSZELKA

Bałtycka muszelka
jest taka niewielka...
Nie mnie ona,
lecz ja jej
szemrzę
wprost do ucha:
— urośnij jeszcze troszeczkę!
Jak myślisz?
— Czy posłucha?

Maja Waszak
Rys. Irena Łakomiec-Kamińska

ność sięgnąłeś. Ale podbiłeś moje serce i zamiast kary ofiaruję ci swoją miłość. Musisz ją jednakże odwzajemnić. Jeśli stałoby się inaczej, to nie unikniesz kary.

Rybak olśniony urodą władczyni morza i ujęty wspaniałomyślnością, bez chwili wahania odrzekł:

— Twój jestem i wierny ci będę do końca moich dni.

Spodobała się ta odpowiedź Juracie i odpowiedziała:

— Odtąd każdego wieczoru przypłynę tu na spotkanie z tobą, a w ciągu dnia tęsknie będę o tobie rozmyślać. A teraz żegnaj! Muszę już wracać do swego podmorskiego pałacu.

I zanurzyły się w Bałtyku łodzie Juraty i jej boginek, zamknęła się nad nimi gładka toń wody, a młody rybak długo stał nieporuszony i wpatrywał się w spokojne morze, myśląc o przygodzie, jaka go spotkała.

Jurata zaś dotrzymała słowa i odtąd co wieczór młodzi spotykali się nad morskim brzegiem i spędzali razem długie, szczęśliwe godziny.

Ale ich miłość nie podobała się władcy burz i piorunów, Perunowi. Nie mógł wybaczyć pięknej Juracie, że pokochała zwykłego śmiertelnika, i postanowił srodze ją za to ukarać. Którejś nocy, gdy wróciła ze spotkania ze swym ukochanym, rozgniewany bóg cisnął piorunem w bursztynowy pałac, który rozsypał się na tysiące kawałków, grzebiąc pod swoimi szczątkami porażoną gromem Juratę.

Również młodego rybaka spotkała okrutna kara. Za sprawą Peruna fale roztrzaskały jego łódź, gdy na połów wyruszył, a on sam na dno morskie poszedł. Tam mściwy bóg kazał go przykuć do skały, gdzie — być może — do tej pory cierpi.

Do dziś też morze wyrzuca kawałki bursztynu, jakie pozostały po wspaniałym pałacu Juraty, królowej Bałtyku.

Marian Orłoń
Jan Tyszkiewicz

SATURATOR

Gdy nastaje upalne lato, ludzie szukają ochłody w cieniu, nad rzeką, mają apetyt na lody albo wodę sodową. My trzej: Wojtek, Jurek i ja, też często przystawaliśmy na rogu, przy saturatorze, który obsługiwał pan Sobiesiak, mieszkający w naszym domu. Zawsze uśmiechał się na nasz widok i pytał:

— Z jakim sokiem dzisiaj napijecie się wody?

— Z malinowym, bo wczoraj był cytrynowy... — odpowiadaliśmy.

Pan Sobiesiak sięgał po plastykowe kubeczki, pokręcał korbką, aby gaz był mocniejszy i po chwili trzymaliśmy w rękach porcje musującego płynu. Piliśmy wodę z bąbelkami powoli, aby jak najdłużej cieszyć się smakowitym napojem, potem siadaliśmy na niskim murku obok saturatora i przyglądaliśmy się klientom. Nigdy ich nie brakowało. Sprzedawca obsługiwał wszystkich szybko i uprzejmie, a kiedy skończyła się woda, odjeżdżał z wózkiem na kilka minut i powracał z nowym zapasem. Nieraz pomagaliśmy mu, bo lubiliśmy pana Sobiesiaka.

Pewnego popołudnia pan Sobiesiak zamyślił się i powiedział:

— Mam do was prośbę, chłopcy!

— Bardzo chętnie, o co chodzi?

— Muszę załatwić pewną sprawę. Wrócę za godzinę. Czy moglibyście zaopiekować się przez ten czas saturatorem, a nawet sprzedawać wodę? Jest jej prawie cały zbiorniczek, a ciśnienie gazu jak trzeba. Chyba nie będzie dzisiaj dużo kupujących, bo pogoda się popsuła.

— Może pan być spokojny — zapewniliśmy sprzedawcę. — Damy sobie radę.

— Dziękuję wam, niedługo wrócę.

Zostaliśmy we trzech przy saturatorze. Zerknęliśmy na zachmurzone niebo, ale nie przejęliśmy się tym. Wojtek przygotował kilka kubeczków i zawołał raźnie:

— Woda sodowa — najlepsza ochłoda!

Komu, komu?

Bo idę do domu...

Niestety, nikt nie zatrzymywał się przy nas. Przechodnie spoglądali niespokojnie w górę i przyspieszali kroku w obawie przed deszczem.

Nagle w naszą stronę skierował się Andrzej Bizonek, kolega z podwórka.

— Cześć, Jędrek! — zawołaliśmy. — Napijesz się wody sodowej?

— Chętnie.

Wojtek sięgnął po kubek.

— Z jakim sokiem?

— Obojętnie, bo nie mam pieniędzy...

Nasz przyjaciel odstawił naczynie i oświadczył kategorycznie:

— Na kredyt nie sprzedajemy.

Ale Bizonek uśmiechnął się ironicznie i powiedział:

— Skoro już mowa o pieniądzach, to kiedy mi oddasz czterdzieści złotych? Miałeś je zwrócić wczoraj...

Wojtek zerknął na nas i zaczerwienił się.

— Dostaniesz pojutrze z mojego „kieszonkowego".

— Nie. Albo zaraz, albo powiem twojej siostrze, jakiego ma brata...

— Coś ty, Jędrek! — mruknął prosząco nasz przyjaciel i nagle zaproponował: — A może napijesz się za te pieniądze wody? Z jakim sokiem?

Bizonek skinął głową.

— Dobrze, to będą cztery porcje... Najpierw z malinowym.

Wojtek westchnął i napełnił naczynie. Jędrek wypił szybko i podsunął szklaneczkę.

— Teraz z cytrynowym...

Trzecią porcję połknął z trudem, a sprzedawca natychmiast wręczył mu resztę długu. Tym razem Bizonek zasapał, napił się trochę i odstawił kubek.

— Dzię... dziękuję... — powiedział dziwnie zmieniony i odszedł trzymając się za brzuch. Popatrzyliśmy za nim bez współczucia.

— Napijmy się i my, dobra? — zaproponował Jurek.

Nie miałem ochoty na wodę z saturatora,

bo zrobiło się chłodno, ale podałem naszemu sprzedawcy pieniądze i powiedziałem:

— Daj dwie wody dla mnie i dla ciebie. Zwrócisz mi później...

— Dziękuję — ucieszył się Wojtek. — Jednak handel idzie...

Niestety, zły to interes, gdy kupiec sam nabywa swoje towary... Rozumieliśmy to i po naradzie postanowiliśmy pojechać z wózkiem w inne miejsce. Zaczął padać deszcz, ale nie zrezygnowaliśmy z planu. Zatrzymaliśmy się na przystanku autobusowym.

— Woda sodowa — najlepsza ochłoda... — zaczął Wojtek. Ludzie stłoczeni w wiacie wzruszali ramionami, a jakaś pani powiedziała:

— Powariowali! Kto dziś będzie pił wodę sodową?

A ktoś inny doradził nam:

— Przyjedźcie na plażę, jak będzie znowu pogoda, wtedy nie zabraknie wam klientów.

Ruszyliśmy więc w powrotną drogę. Nagle Wojtek zatrzymał wózek i powiedział:

— Nie pozwolę, by zmarnowało się tyle wody.. Tadek, pożycz mi jeszcze dziesięć złotych...

Podałem mu dwudziestozłotówkę i upomniałem się o dziesięć złotych. Przyjaciel popatrzył na mnie i wzruszył ramionami:

— Po co ci reszta? Wypijesz dwa kubki?

— Nie wypiję, jest za zimno.

Wojtek uśmiechnął się drwiąco.

— Bizonek wyżłopał prawie trzy, a ty co? Tchórzysz?

Poczerwieniałem z gniewu i zdecydowałem:

— Jeszcze się przekonasz! Nalewaj...

I mimo, że Jurek chciał mnie powstrzymać, z wielkim trudem udowodniłem, że jestem lepszy od Bizonka, bo zapłaciłem jeszcze za trzecią porcję, którą wypiłem w strugach deszczu. Ten bohaterski czyn tak mnie osłabił, że ledwo wlokłem się za przyjaciółmi, którzy sami musieli pchać saturator. Wjechaliśmy do bramy domu i czekaliśmy na pana Sobiesiaka. Wreszcie zjawił się i zawołał:

— Gdzie się podziewaliście? Szukałem was...

— Sprzedawaliśmy wodę — pochwalił się Wojtek. — Niestety, nie daliśmy rady wypić wszystkiej — chociaż pomagał nam kolega... Zapłacę za niego w piątek. Więcej nie mogliśmy... Tu jest reszta pieniędzy...

Przyjaciel zakasłał, a pan Sobiesiak pokręcił dziwnie głową.

— Oj, chłopcy, chłopcy! Boję się, że będziecie musieli jeszcze zapłacić...

— Jak to? — przestraszyliśmy się.

— Tak, ale własnym zdrowiem, już jesteście zachrypnięci... Najsmaczniejsza woda sodowa nie jest tego warta. A pieniądze weźcie z powrotem i nic nie przynoście za tamtego bohaterskiego kolegę. Pewnie czuje się tak jak wy... Biegnijcie do domu i nie zapomnijcie o aspirynie. Weźcie mój parasol, a ja tutaj przeczekam deszcz.

Ryszard Przymus
Rys. Bohdan Butenko

LUDMIŁA MARJAŃSKA — poetka, prozaiczka i tłumaczka literatury amerykańskiej. Urodziła się 26.XII. 1923 r. w Częstochowie. Ukończyła filologię angielską na Uniwersytecie Warszawskim.

Debiutowała w 1953 r. na łamach prasy literackiej jako poetka. W latach 1957—1979 pracowała w Polskim Radiu.

Jest autorką kilku książek dla dzieci i młodzieży. Najnowsza powieść „Pierwsze śniegi, pierwsze wiosny" opowiada o grupie dziewcząt z przedwojennego częstochowskiego gimnazjum.

Wiele jej znanych i lubianych wierszy dla dzieci najmłodszych zostało wydanych przez „Naszą Księgarnię" w tomiku „Dmuchawiec".

— Mam tutaj — powiedziała pani Ludmiła Marjańska — czarodziejską kulkę...

I natychmiast wszystkie dzieci, zebrane w toruńskim Międzynarodowym Klubie Prasy, przybiegły do niej, jak stalowe opiłki do magnesu, i prosiły:

— Niech nam pani da tę kulkę!...

— Nie mogę. Ona pomaga mi pisać wiersze. Mogę Wam tylko dać ją na chwilę, do potrzymania.

No i zobaczyłem, jak gęsiego ustawiły się dzieci, i z całą powagą podchodziły, i przytykały palce do czarodziejskiej, szklanej kulki. A ona tymczasem rosła w oczach. Rosła i zagarniała dzieci, wciągając do Świata Poezji.

Tadeusz Chudy

ROZMOWA PO PRZEBUDZENIU

— Wiesz, co mi się śniło?
— Nie.
— A byłaś w tym samym śnie!
— Ja?
— Ty, nie pamiętasz? Stałaś
razem ze mną i byłaś mała,
Nie byłaś jeszcze moją mamą,
ubrana byłaś tak samo,
nosiłaś czerwone buciki
i płaszczyk na złote guziki.
— A gdzie tak stałyśmy, córko?
— Na podwórku.
I piesek był z nami.
I były właśnie święta.
— No, popatrz, a ja nic a nic
nie pamiętam.

Rys. Przemysław Woźniak

PO SIANOKOSACH

Szkoda wysokiej trawy,
szkoda wesołej łąki.
Gdzie teraz będą
nurkowały skowronki?

Na polu, w zbożu
w bruździe się skryją
tano.
Wciągnij powietrze,
czujesz, jak pachnie
siano?

KSZYK

Leciał nad polem kszyk.
Leciał, poleciał, znikł,
schował się w jakiś zakątek.
Kszyk przez sz?
Powiecie: błąd!
Ależ skąd!
To ortograficzny wyjątek,
bo kszyk to ptak, czasem
zwany także bekasem,
bo kiedy spada w łąkę pełną mleczy,
beczy.
Kszyki rzadko się spotyka
i rzadko słyszysz
krzyk kszyka.

WIECZÓR

Spójrz, jak łagodnie
słońce schodzi poza horyzont:
jak gdyby chciało powiedzieć
nam, którzy tu zostajemy
jeszcze na chwilę,
iż ciemność jest jedynie
ukrytym blaskiem.

Ludmiła Marjańska

Ludwik Zamenhof (1859—1917)

ESPERANTO

Od najdawniejszych czasów ludzie z różnych narodów mieli kłopoty ze wzajemnym porozumiewaniem się, gdyż mówili odmiennymi językami. Tak właśnie było między innymi i w XIX wieku w Białymstoku — rodzinnym mieście Ludwika Zamenhofa. Mieszkali tam Polacy, Rosjanie, Niemcy i Żydzi. Narastały między nimi spory i nieporozumienia.

Wtedy to Ludwik Zamenhof zaczął zastanawiać się, co zrobić, aby wszyscy ludzie mogli ze sobą rozmawiać w zrozumiałym dla każdego języku. Uważał, że taki język, który miałby połączyć ludzi, powienien być prosty i łatwy w nauce. Rozpoczął więc pracę nad zupełnie nowym językiem. W lipcu 1887 roku — 100 lat temu — wydał w Warszawie, gdzie przeniósł się z Białegostoku, pierwszy podręcznik do nauki nowego języka. Napisał go pod pseudonimem Doktor Esperanto. Doktor — bo był już lekarzem okulistą, a Esperanto, czyli „mający nadzieję", gdyż słowo „espero" znaczy w nowym języku „nadzieja".

Doktor Ludwik Zamenhof miał nadzieję, że język ten zbrata ludzi na całym świecie.

Od Jego pseudonimu „Esperanto" przyjęło się tak właśnie nazywać nowy język, który odtąd coraz bardziej się rozpowszechniał i zdobywał wciąż nowych zwolenników.

W pierwszym podręczniku Doktora Esperanto były 904 podstawy słów, czyli rdzenie, z których utworzyć można było 15 tysięcy wyrazów. Obecnie jest znanych ponad 10 tysięcy rdzeni, z których powstać może aż 200 tysięcy słów.

Dziś do Światowego Związku Esperantystów należą ludzie z 70 krajów. Na świecie mówi tym językiem ponad 20 milionów ludzi, w Polsce około 20 tysięcy osób.

W stulecie powstania esperanta organizowane jest w Warszawie — w miejscu narodzin tego języka — międzynarodowe spotkanie esperantystów.

W dniach od 25 lipca do 1 sierpnia spotka się na Kongresie Esperantystów około 6 tysięcy ludzi mówiących tym właśnie językiem.

A więc nadzieja Ludwika Zamenhofa, że język esperanto będzie się wciąż rozwijał i stanie się zrozumiały we wszystkich krajach świata — zaczyna się spełniać!

Jeśli i Wy chcecie nauczyć się tego języka na kursach w swojej szkole, w domu kultury czy w klubie osiedlowym, napiszcie do: Polskiego Związku Esperantystów, ul. Jasna 6, 00-013 Warszawa, a otrzymacie stamtąd wszystkie potrzebne informacje.

TWB

Zwróciliśmy się do znanej pisarki pani Marii Ziółkowskiej z prośbą o wypowiedź na temat esperanta i Jej związków z tym językiem. Pani Ziółkowska napisała swoją wypowiedź w formie wywiadu. „Płomyczek"

— *Czy to prawda, że jest Pani esperantystką od dziecka?*

— Święta prawda! Esperanta zaczęłam uczyć się dla zabawy, właściwie dla kawału, żeby jakąś niespodziewaną wypowiedzią zaskoczyć ojca, uczęszczającego na kurs tego języka. Udało się. Pewnego słonecznego ranka powiedziałam: Bonan tagon! Kiel vi dormis, kara patro? (Dzień dobry! Jak spałeś, drogi ojcze?). Miałam wówczas 9 lat.

— *Co pani dało esperanto?*

— Przede wszystkim jest bardzo, bardzo łatwe, ośmieliło mnie i zachęciło do uczenia się języków obcych. No i pomogło mi ogromnie w ich przyswajaniu, esperanto bowiem składa się z wyrazów, które najczęściej występują we wszystkich europejskich językach. Poznając je, poznaje się częściowo wiele innych języków. W szkole średniej i później nie miałam kłopotu z łaciną, francuskim, niemieckim, a włoski, do którego esperanto jest bliźniaczo podobne, sam wszedł mi do głowy. Przypadła mi do serca także idea esperantyzmu, którą chyba najkrócej da się określić jako miłość bliźniego, bez względu na jego kolor skóry i narodowość, oraz jako szeroko pojęte działanie na rzecz przyjacielskiego zbliżenia narodów.

Pamiętam moją pierwszą rozmowę z esperantystą zagranicznym. Był to Murzyn. Na mnie, 14-letniej wówczas dziewczynie, zrobiła ta rozmowa wielkie wrażenie. Murzyn ów powiedział: „Skóra moja jest czarna, ale serce czerwone jak twoje".

— *Jest pani autorką podręczników esperanta.*

— Tak, bardzo chętnie przekazuję swoją znajomość języka każdemu, kto chce ją przyjąć.

— *Pierwsza pani powieść to biografia Ludwika Zamenhofa, twórcy międzynarodowego języka esperanto.*

— Jeśli nie liczyć tych krótkich (na jeden brulion) powieści, przeważnie humorystycznych, o nauczycielach i uczniach, które kursowały pod ławkami w mojej klasie — tak, pierwsza. Ale poważnie! Powieść o życiu Zamenhofa powstała z mojego zafascynowania tą postacią. Proszę sobie wyobrazić, że Zamenhof zaczął tworzyć język międzynarodowy mając 10 lat, a skończył tuż przed zdaniem matury. Później tylko udoskonalał, polerował. Napisałam dwie powieści o Zamenhofie: „Doktor Esperanto" dla dorosłych i „Chłopiec spod zielonej gwiazdy" dla dzieci i młodzieży. „Doktor Esperanto" jest pierwszą na świecie powieścią biograficzną o Zamenhofie. Wyszła jednocześnie w dwóch językach — polskim i esperanto. Obecnie przetłumaczona jest z esperanta w całości lub tylko fragmentami na 11 języków narodowych.

— *Tworzy pani również w języku esperanto?*

— Tylko listy do przyjaciół na całym świecie. Ale tłumaczę poetów, których lubię.

— *A może na koniec da pani czytelnikom coś do przetłumaczenia i załączy słowniczek...*

— Z przyjemnością. Tylko muszę przypomnieć, że każde tłumaczenie przekazuje myśl zawartą w zdaniu, a nie dosłowny przekład wyrazów. Życzę powodzenia!

Litvo! Patrujo mia! Simila al sano,
Vian grandan valoron ekkonas litvano,
Vin perdinte. Belecon vian mi admiras,
Vidas gin kaj priskribas, ĉar mi hejmsopiras.*)

Słowniczek: Litvo — Litwa. Patrujo — ojczyzna. Mia — moja. Simila — podobna. Al — do. Sano — zdrowie. Vian — twoją. Grandan — wielką. Valoron — wartość. Ekkonas — poznaje. Litvano — Litwin. Vin — cię. Perdinte — utraciwszy. Belecon — piękność. Mi — ja. Admiras — podziwiam, uwielbiam. Vidas — widzę. Ĝin (czyt. dżin) — ją. Kaj — i. Priskribas — opisuję. Ĉar (czyt. czar) — bo. Hejmsopiras — tęsknię do domu.

Maria Ziółkowska

*) Przełożył Antoni Grabowski

OKAZJA JAK RZADKO

Haszim Abajdulin, właściciel największego bucharskiego karawanseraju — gospody z miejscem dla ludzi, towarów i zwierząt — uradował się niezmiernie, gdy w hałaśliwym tłumie wypełniającym uliczki bazarowego labiryntu dostrzegł nieoczekiwanie Hodżę Nasreddina. Z trudem przeciskając się w jego kierunku wołał na całe gardło:

— Zaczekaj, afandi. Potrzebuję koniecznie twojej rady. Trafia mi się okazja jak rzadko. Do Chiwy wyrusza jutro karawana kupca Mardżanbeka. Za niewielką opłatą zacny Mardżanbek zgodził się, abym do jego karawany przyłączył kilka moich zwierząt garbonośnych z towarem. W Chiwie budowniczy pałacu chanowego czeka na płytki ceramiczne zdobione barwną majoliką, zamówione u mnie przed rokiem. Okładziny ścian muszę dostarczyć możliwie szybko, jeśli nie chcę stracić klienta i pieniędzy. Z samego rana próbowałem załadować na wielbłądy po dwa kosze ceramiki. Niestety, na jedno ze zwierząt zabrakło mi w ogóle towaru. Pozostanie więc chyba w stajni. Obawiam się tylko, Hodżo, czy wielbłądy wytrzymają trudy podróży przez Czarne Piaski z podwójnym ciężarem na grzbiecie?

— No, to załaduj na każdego wielbłąda nie po dwa, lecz po jednym koszu z ładunkiem majolikowej wykładziny — doradził mędrzec. — Wówczas będziesz mieć pewność, Haszimie, że zwierzęta nie obciążone ponad miarę nadążą za karawaną kupiecką.

Haszim poskrobał się za uchem.

— I tak próbowałem, afandi — oświadczył. — Niestety, dla jednego kosza zabrakło mi wtedy zwierzęcia. Nie mogę przecież pozostawić części majoliki w Bucharze, gdy budowniczy pałacu w Chiwie czeka na wszystko.

— Ech, Haszimie, Haszimie — westchnął Hodża Nasreddin. — Jeśli naprawdę nie chcesz przeciążyć zwierząt, każ im na grzbiet włożyć po jednym koszu. Zaś od swego brata Karima wypożycz dodatkowe zwierzę, aby poniosło ładunek pozostały. Tym prostym sposobem okażesz rozwagę i zaoszczędzisz siły wszystkich wielbłądów. No i uzyskasz gwarancję, że bezpiecznie doniosą ładunek płytek majolikowych na miejsce przeznaczenia, do Chiwy.

— Tak postąpię, afandii — uradował się Haszim. — Nie pojmuję tylko, dlaczego sam nie wpadłem na pomysł z wypożyczonym wielbłądem. Widocznie zbytni upał przeszkadza mi w myśleniu.

Hodża Nasreddin nie wszedł do środka karawanseraju, nie zaglądał do stajen Abajdulinowych. Z informacji, jakie uzyskał od właściciela wielbłądów, zorientował się, ile zwierząt garbonośnych wyruszy nazajutrz z ładunkiem ceramiki. Spróbujcie pójść w ślady Hodży Nasreddina, może i wam uda się odgadnąć, ile wielbłądów Haszima Abajdulina będzie dźwigać płytki majolikowe przez piaski pustynne Kyzył-kumów?

Zdzisław Nowak
Rys. Jerzy Flisak

(Fragment z książki „Książę Łuczników. Figle i zadania mądrego Hodży")

STANISŁAW JANICKI —

wybitny budowniczy Kanału Sueskiego

„Pan Rawlison, jeden z dyrektorów Kompanii Kanału Sueskiego, i Władysław Tarkowski, starszy inżynier tejże Kompanii, żyli od wielu lat w najściślejszej przyjaźni. Obaj byli wdowcami, ale pani Tarkowska, rodem Francuzka, zmarła z chwilą przyjścia na świat Stasia, to jest przed laty przeszło trzynastu... Obaj wdowcy mieszkali w sąsiednich domach w Port Saidzie..."

Już wiemy, o kim mowa. To przecież pan Władysław Tarkowski, ojciec bohaterskiego Stasia z powieści Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy". Powieść znamy wszyscy, ale przypuszczalny prototyp postaci pana Tarkowskiego jakoś nie przedostał się do uczonych rozpraw, analiz, recenzji. A tymczasem w r. 1956 odbyła się następująca rozmowa między dyrektorem Muzeum Morskiego w Gdańsku, dyrektorem Przemysławem Smolarkiem i kpt. żeglugi wielkiej Jerzym Pinno, polskim pilotem pracującym w Kanale Sueskim: „...Czy wie pan, że kanał, którym przepływacie i gdzie ja pracuję, budował Polak?..."

Zachowane dokumenty świadczą, że istotnie, w latach 1864—1869 polski inżynier Stanisław Janicki kierował budową północnego odcinka kanału od Port Saidu do Ismaili. Niejednokrotnie sprawował główny nadzór nad całością budowy. Była to zapewne praca budząca niezwykłe uznanie, skoro z okazji pomyślnego zakończenia budowy cesarzowa Francji Eugenia, żona Napoleona III, udekorowała naszego rodaka w 1869 r. najwyższym odznaczeniem francuskim, Krzyżem Legii Honorowej.

Warto nadmienić, że Lesseps, główny inżynier, kierujący budową Kanału, zaproponował Janickiemu dwadzieścia lat później objęcie kierownictwa technicznego przy budowie Kanału Panamskiego. Widocznie talent młodego Polaka i u niego znalazł uznanie. Pan Stanisław jednak odmówił, ponieważ miał zastrzeżenia dotyczące samego projektu.

Może imponować fakt, że w nawale pracy jeden z kierowników budowy znajdował jeszcze czas, aby dzielić się wrażeniami z rodakami w kraju. W korespondencji zamieszczonej w „Tygodniku Ilustrowanym" z dn. 25 lutego 1865 roku, i zatytułowanej „Znad

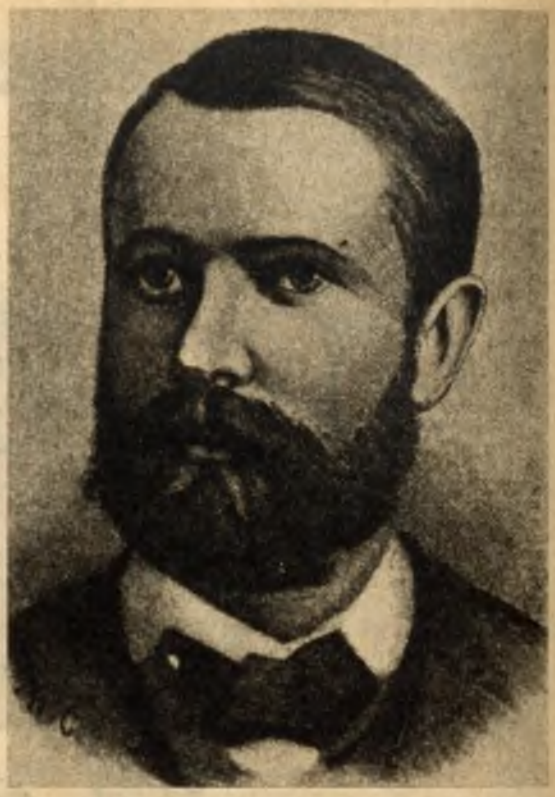

Stanisław Janicki

Przekopywanie kanału rozpoczęte

Kanału Sueskiego", Janicki pisał: „...Roboty około kanału nie rozpoczną się tak prędko, bo wiele zachodzi trudności. Roboty będą przepyszne i wcale nie miałbym ochoty opuścić Egiptu przed ukończeniem kanału.

...Jestem już w Serapeum, tak się miejsce to nazywa od ruin świątyni Serapisa, które o wiorstę stąd są odległe. Obóz rozłożyliśmy na śladach kanału faraonów.

...Jest nas tu trzech: ja, mój pomocnik i kasjer. Oprócz tego mamy kilku dozorców robót — Greków i Włochów, i kilkudziesięciu Arabów.

...We czwartek byłem na balu u pana Voisin, dyrektora głównego Kompanii Kanału

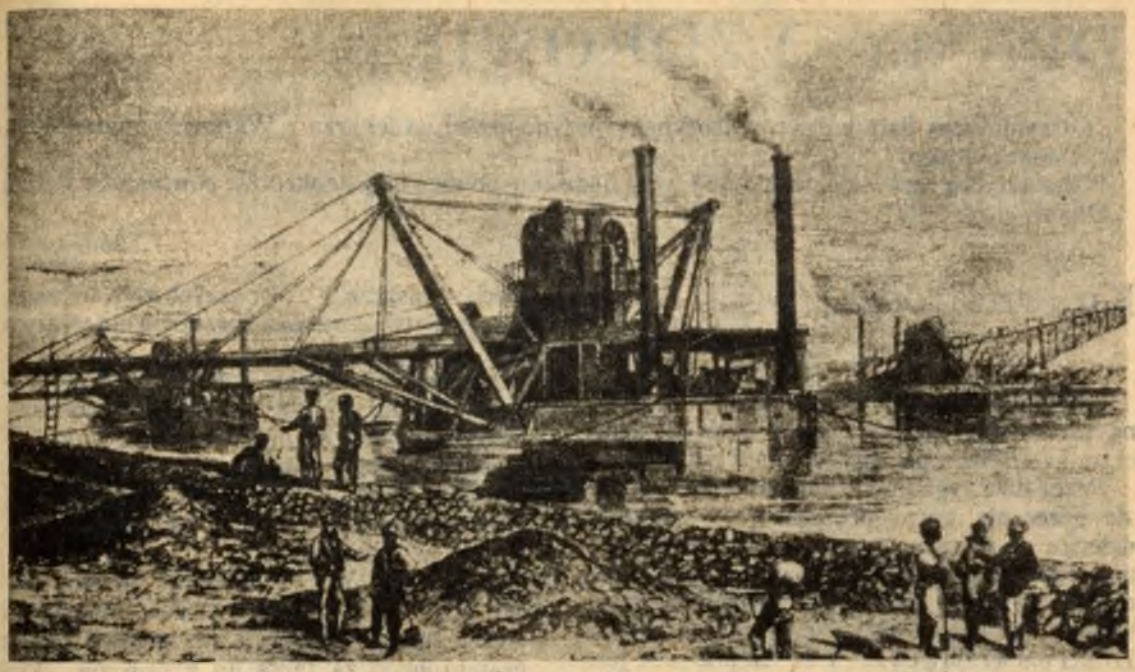

Specjalnie skonstruowana pogłębiarka do budowy kanału

Sueskiego w Ismaili... Bal był wydany z okazji przyjazdu p. Lessepsa... Wszedłszy do sali balowej, po świeżych strojach dam, po frakach i białych rękawiczkach mężczyzn, trudno było poznać, żeśmy na pustyni".

Ale nie tylko sukcesy towarzyszyły Janickiemu na tej budowie. Oto w Ismaili, gdzie mieszkał, zmarła jego żona, pochodząca ze spolonizowanej rodziny włoskiej Pelizzaro. Do dziś dnia zachował się tam jej grób.

W r. 1880 pan Stanisław wyjechał do Austrii na wypoczynek. I tam poznał Henryka Sienkiewicza, z którym się zaprzyjaźnił, prowadził wiele rozmów dotyczących m.in. budowy Kanału Sueskiego i jego w tym przedsięwzięciu udziału. Można domniemywać, że on właśnie jest prototypem postaci ojca bohaterskiego Stasia.

Pisząc o Janickim nie chciałbym jednak poprzestać na wspaniałym sueskim epizodzie jego życia i jego konsekwencjach literackich. Przyjrzyjmy się bliżej wybitnemu, na miarę światową, przedstawicielowi polskiej myśli technicznej.

Jego kariera rozpoczęła się dosyć wcześnie. Po ukończeniu studiów politechnicznych w Hanowerze — wrócił do rodzinnej Warszawy i na Solcu, w jednej z fabryk, rozpoczął krótką praktykę. Po jej ukończeniu został zaangażowany przez francuską firmę „Gouin et Cail", której zlecono budowę mostu Kierbedzia w Warszawie. 26-letni inżynier pracował tam jako zastępca szefa robót. Pośrednictwo francuskich zwierzchników sprzyjało dokonaniom i dziełom naszego rodaka w świecie techniki, co zostało uwieńczone epizodem sueskim.

Po otwarciu Kanału Janicki podjął się kierowania robotami budowlanymi przy wznoszeniu portu Rijeka. Prace owe, również zakończone sukcesem, trwały 10 lat.

Później przeniósł się do Rosji, gdzie zaproponowano mu kanalizację, tj. kompleksowe zagospodarowanie rzeki Moskwy, przez budowę stopni wodnych, umożliwiających lepsze wykorzystanie zasobów wodnych. Inż. Janicki kierował 170-kilometrowym odcinkiem budowy od Moskwy do Kołomny, stosując jazy ruchome w korycie rzeki, kanały obwodowe i śluzy, holowanie statków z zastosowaniem kabla ułożonego na dnie rzeki. Był to system znany we Francji, a nie rozpowszechniony jeszcze w Rosji.

Inżynier Stanisław Janicki projektował także kanał morski w Petersburgu (obecnie Leningrad) i system wodociągów w Odessie.

Aby dopełnić listę jego osiągnięć, warto powiedzieć, że podczas pobytu w Rosji przyczynił się do rozwoju kopalni węgla kamiennego w Zagłębiu Donieckim i był jednym z założycieli francuskiego towarzystwa kopalni rud żelaznych w Krzywym Rogu.

Opracował także projekt doków pływających przeznaczonych dla remontu statków, wyprzedzając o dziesiątki lat późniejsze budownictwo doków remontowych.

W r. 1883 powrócił do kraju, gdzie w Warszawie w pięć lat później zmarł.

Józef Zięba

DBAMY O ZDROWIE (3)

Otrzymaliśmy listy z dwoma krótkimi maszynopisami od lekarza z Warszawy, pana Jacka Woźniakowskiego.

Oba dotyczą spraw niezwykle ważnych. Będziemy do nich niejednokrotnie powracać w kąciku „Dbamy o zdrowie".

„Płomyczek"

Ku przestrodze

Obserwuję od kilkunastu lat (prowadzoną przez MO) jesienną akcję ochrony dzieci na przejściach dla pieszych pod szkołami.

Przez dwa tygodnie samochody zatrzymują się grzecznie przed przejściem ze znakami dziecka z czerwonym „lizakiem". Stoi tam uśmiechnięty pan milicjant, dzieci śmiało przechodzą na drugą stronę jezdni rozglądając się w lewo i prawo, i wszystko jest w porządku. Dzieci nabierają pewności, że ich przejście jest bezpieczne, że wszyscy kierowcy przestrzegają zasad ruchu drogowego.

Po pewnym czasie znika pan milicjant, kierowcy przestają być uprzejmi i grzeczni, a ufne dzieci, zwłaszcza te z pierwszych klas, uważają, że mają pierwszeństwo na przejściu dla pieszych przed szkołą.

Odprowadzam swoje dzieci do szkoły, prawie wymuszam na kierowcach zatrzymanie samochodu przed przejściem, grupa maluchów przechodzi bezpiecznie przez jezdnię.

Dobrze byłoby, by znak z „lizakiem" kierowcy traktowali jako znak „stop" i aby nie zawiedli zaufania dzieci.

A czytelników „Płomyczka" proszę, aby przy przechodzeniu przez jezdnię uważali na dzieci z młodszych klas i aby przyjęli zasadę ograniczonego zaufania do kierowców. Wierzcie im, ale nie do końca.

Jacek Woźniakowski
Fot. Ryszard Kreyser

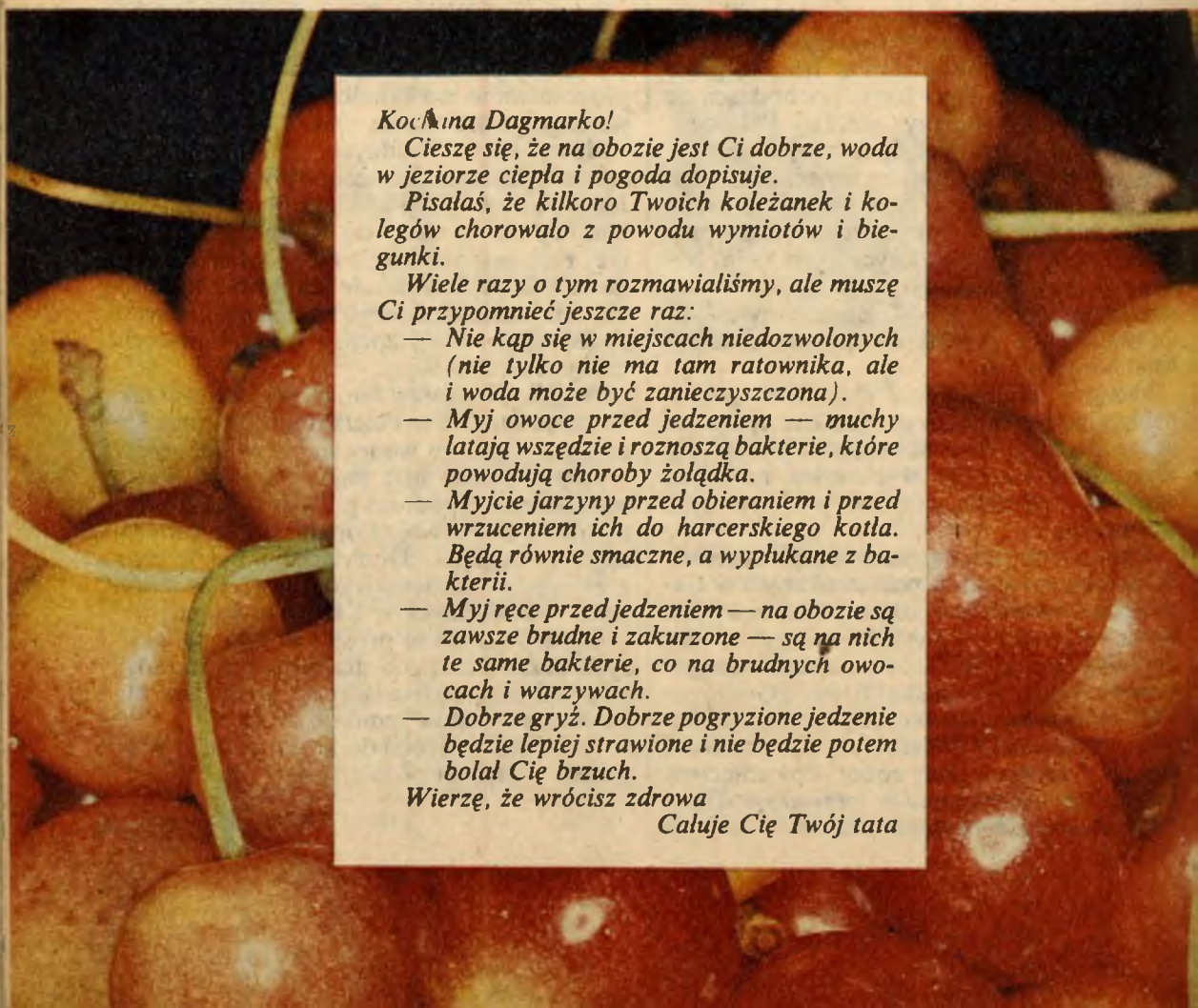

Kochana Dagmarko!

Cieszę się, że na obozie jest Ci dobrze, woda w jeziorze ciepła i pogoda dopisuje.

Pisałaś, że kilkoro Twoich koleżanek i kolegów chorowało z powodu wymiotów i biegunki.

Wiele razy o tym rozmawialiśmy, ale muszę Ci przypomnieć jeszcze raz:

- *Nie kąp się w miejscach niedozwolonych (nie tylko nie ma tam ratownika, ale i woda może być zanieczyszczona).*
- *Myj owoce przed jedzeniem — muchy latają wszędzie i roznoszą bakterie, które powodują choroby żołądka.*
- *Myjcie jarzyny przed obieraniem i przed wrzuceniem ich do harcerskiego kotła. Będą równie smaczne, a wypłukane z bakterii.*
- *Myj ręce przed jedzeniem — na obozie są zawsze brudne i zakurzone — są na nich te same bakterie, co na brudnych owocach i warzywach.*
- *Dobrze gryź. Dobrze pogryzione jedzenie będzie lepiej strawione i nie będzie potem bolał Cię brzuch.*

Wierzę, że wrócisz zdrowa

Całuje Cię Twój tata

NASZA GALERIA

Ludwik Maciąg jest współcześnie żyjącym malarzem i grafikiem, profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Urodził się w 1920 r. w Krakowie. Od wczesnej młodości wykazywał zdolności do rysunków. Mając zaledwie 14 lat ilustrował „Potop" Sienkiewicza i namalował „Panoramę bitwy pod Kircholmem". Ojciec artysty był artylerzystą, przeszedł szlak bojowy kilku frontów I wojny światowej, rozbudził więc w synu zainteresowanie wojskiem i końmi. Mieszkając na terenie koszar artylerii konnej L. Maciąg od wczesnej młodości obserwował na co dzień konie wiejskie, rasowe, wojskowe. Stały się one później jego malarską pasją.

Studia malarskie odbył w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych u Tadeusza Kulisiewicza i Michała Byliny. Pod kierunkiem M. Byliny, słynnego batalisty, rozwija i kształci swoje zdolności i zamiłowania — maluje sceny batalistyczne, wojenne, a przede wszystkim konie. W obrazach swych przedstawia często sceny partyzanckie, sam bowiem brał udział w wielu bitwach i potyczkach leśnych jako żołnierz AK.

Ludwik Maciąg na swych obrazach doskonale wyraża ruch, szczególnie gdy maluje konie. Jest autorem dwóch serii znaczków: „Jazda polska od X do XX w.", przedstawia na nich piastowskich wojów, husarię i ułanów, oraz „Koń polski" — dziesięć znaczków z końmi arabskimi, wierzchowcami, wyścigowymi. Artysta jest również ilustratorem książek i doskonałym pejzażystą. Jego krajobrazy, malowane farbami olejnymi i akwarelami, tchną prostotą, niezwykłością i odmiennością ujęcia przyrody i architektury. Wystawy obrazów Ludwika Maciąga oglądano w ZSRR, w Austrii, Finlandii, Bułgarii. Dzieła jego znajdują się w Muzeum Narodowym w Warszawie, w Muzeum Wojska Polskiego oraz w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu.

Janina Datko

PANI LUCYNA I JEJ NIEDŹWIEDZIE

Wyobraźmy sobie... Przyjechał cyrk! W całej okolicy ożywienie. Na skraju miasteczka pojawiły się kolorowe wozy i zręczni pracownicy cyrku ustawiają ogromny namiot, pod którym, pośrodku, będzie arena. Zbiegły się już dzieci, aby choć przez szparę w płocie zobaczyć, co robią artyści i czy są zwierzęta. Szczególnie mocno na wyobraźnię działają drapieżniki. Zobaczyć lwa czy niedźwiedzia — to jest coś!

Zanim jednak obejrzycie w cyrku wspaniałe występy i popisy pogromców zwierząt, przyjrzyjmy się bliżej pracy opiekunów zwierząt.

Specjalnie dla Czytelników „Płomyczka" zrobiliśmy wywiad z panią Lucyną Brüning, jedną z niewielu kobiet na świecie, która tresuje niedźwiedzie.

— *Pani Lucyno! Od 36 lat tresuje pani niedźwiedzie brunatne. Jak powinien wyglądać i jakie cechy charakteru powinien mieć pogromca zwierząt?*

— Nie pogromca, lecz treser. Powinien przede wszystkim kochać zwierzęta, znać doskonale fizjologię i psychikę zwierząt i mieć dla nich dużo, naprawdę dużo cierpliwości. Wygląd zewnętrzny nie ma w tym zawodzie większego znaczenia.

— *Czy zechciałaby pani opowiedzieć, jak rozpoczęła się pani przygoda z cyrkiem?*

— O tym, żeby występować w cyrku, marzyłam jak każde dziecko, które choć raz było w cyrku. Kiedy po wojnie powstała w Warszawie, przy ulicy Świerczewskiego, szkoła cyrkowa, mimo sprzeciwu rodziców zapisałam się, i tak zostałam artystką cyrkową.

— *Dlaczego wybrała pani akurat niedźwiedzie?*

— To czysty przypadek. Początkowo występowałam jako żonglerka. Po dwóch latach zaproponowano mi objęcie tresury niedźwiedzi i... zgodziłam się. Było to dla mnie wielkie przeżycie.

— *Na czym polega tresura niedźwiedzi?*

— Wydaje mi się, że lepiej cały ogrom wysiłku i pracy, jaki wkłada treser wykonując swój zawód, oddaje słowo — wychowanie. Małe niedźwiedzie wychowuje się podobnie jak małe dzieci, karmi się je butelką ze smoczkiem, myje, uczy chodzić na dwóch łapach. Powoli do dziennego rozkładu zajęć, do zabaw — wprowadza się elementy ćwiczeń. Małym niedźwiadkom, które przygotowują się do numeru z wrotkami, najpierw zakłada się na spacery małe buciki, gdy zwierzę przyzwyczai się już do chodzenia w bucikach, przykręca się wrotki. Trzymając misia za łapy, uczy się go wolniutko krok po kroku jeździć. Inne niedźwiedzie w trakcie zabawy z piłką uczą się ją obracać nogami, lub naśladując człowieka, usiłują przeskoczyć przez obracającą się skakankę. Żeby osiągnąć wyniki i przygotować numer, trzeba czasem kilku lat pracy i tysięcy prób, podczas których treser musi wykazać maksimum cierpliwości, spokoju i łagodności. Zwierzęta z intonacji głosu człowieka odczytują polecenia, odbierają kary i nagrody. Czasem tylko samo podniesienie głosu może być karą, którą zwierzę odczuwa boleśnie.

— *Czy poszczególne niedźwiedzie różnią się od siebie?*

— Niedźwiedzie tak jak i ludzie różnią się od siebie usposobieniem i cechami charakteru. Jeśli przebywa się z nimi przez dłuższy czas, można to z łatwością zauważyć. „Kasia" np. jest łagodna i bardzo bojaźliwa. „Turoń"

potrafi obrazić się i odmówić wykonania polecenia, gdy się na niego tylko krzyknie.

„Łajka" jest bardzo łakoma i można ją nakłonić do ćwiczeń obiecując słodycze.

— *Czy zwierzęta w cyrku się bije?*

— Różne są oczywiście szkoły, różne metody tresury. Zależy to w dużej mierze od tresera. U nas stosujemy tresurę łagodną. Uważam, że jest to jedyny dopuszczalny sposób tresowania dzikich zwierząt. Na próby bicia zwierzę odpowiada najczęściej agresją. Jeśli nawet człowiek ma przewagę, to zawsze może się przytrafić moment nieuwagi, który tresowane biciem zwierzę natychmiast wykorzysta.

— *Co jedzą niedźwiedzie?*

— Niedźwiedzie brunatne są jaroszami. Na ich codzienny posiłek składa się przede wszystkim biały ser, jabłka i marchew. Oczywiście, bardzo lubią słodycze pod każdą postacią, nie tylko miód.

— *Czy ma pani swoją ulubienicę lub ulubieńca?*

— Tak, jest to „Kasia" wychowana przeze mnie i przez mojego męża od urodzenia. Teraz ma 12 lat, jest dorosłą samicą, waży 250 kg i bardzo lubi zaglądać do naszego wozu.

— *Czy zdarzyło się, że wychowywany przez panią niedźwiedź okazał się nieposłuszny w czasie występu lub próby?*

— Tak. Zdarzyło się to dwa lata temu podczas występów naszego cyrku w NRD. W czasie występu na arenie skaleczyłam się rekwizytem, niedźwiedzie poczuły krew i jeden z nich zaatakował mnie swoją 300 kg masą. Publiczność nie zareagowała. Wyglądało to bowiem jak jeszcze jeden efekt specjalny i zamierzony punkt programu.

— *Czy czasem nie myślała pani, żeby zmienić zawód?*

— Miałam oczywiście jak każdy treser chwile załamania. Im dłużej jednak jestem z moimi niedźwiedziami, myślę, że nie potrafiłabym ich tak samych zostawić.

Teraz zamierzam poszerzyć tresurę o kangury. Kangury w połączeniu z niedźwiedziami.

— *Życzę pani powodzenia w pracy i w życiu, i dziękuję za rozmowę.*

Elżbieta Wrzecionkowska

TAHITAŃSKIE MUSZLE

Niebo jest muszlą, muszlą jest ziemia,
Dzięki muszli, mężczyzna i kobieta
Przyszli na świat.

Bez kwiatów i muszli nie byłoby Tahiti — twierdzą tubylcy i śpiewają o nich pieśni.

Tak jak mówimy o epoce żelaza, Tahitańczycy mogą mówić o epoce muszli.

Wyroby z muszli miały różne przeznaczenie w życiu wyspiarzy. Z masy perłowej wyrabiali oni haczyki do połowu ryb. Masę perłową otrzymywali z muszli perłopławów. Po wydobyciu perły, muszlę perłopława ostrzyli i otrzymywali narzędzie tnące.

Wyostrzoną muszlę ostrygi czy perłopława mocowali na końcu trzonka z bambusa lub z drewna palmy kokosowej. Narzędziem tym ucinali głowy wrogom poległym w walce. Wiedzieć bowiem należy, że Tahitańczycy byli strasznymi okrutnikami i groźnymi ludożercami.

Muszlą morską, wypolerowaną jak lustro, dawano sygnały do rozpoczęcia ceremonii religijnych.

Uderzeniem w muszlę zarządzano absolutną ciszę, która obowiązywała w rytualnych obrzędach. Z muszli wyrabiano instrumenty, np. trąby i kastaniety tahitańskie, zwane na wyspach „tete". „Tete" składa się z dwóch płaskich muszli, precyzyjnie wypolerowanych, jedna większa od drugiej. Tak wykonanego „tete" kapłani używali podczas ceremonii pogrzebowych, uderzając szybkimi ruchami jedną muszlą o drugą. W efekcie uzyskiwano dźwięk nastrajający do powagi chwili.

Muszle były używane do ozdoby i dekoracji strojów służących do obrzędów ceremonialnych, np. strój żałobnika ozdobiony był dużymi muszlami ostryg, a napierśnik składał się z wielu małych wyszlifowanych prostokącików z masy perłowej, misternie połączonych ze sobą.

Nakrycie głowy wojownika, to kiście z masy perłowej i muszli, które przy każdym ruchu głowy wydawały dźwięk, powodujący zwiększenie wrzawy i zgiełku toczącej się walki.

Muszle stosowano w budowie specjalnego telegrafu. Najważniejszym przeznaczeniem

muszli było używanie ich do zdobienia strojów kobiet.

Z muszli wykonywano wiele przedmiotów do codziennego użytku, jak naczynia, noże itp.

W ślad za legendami, które głęboko były związane z folklorem wysp, pewne gatunki muszli uważano za przedmioty święte. Np. muszle w kształcie serca, według wierzeń ludów Pacyfiku, były używane przez bogów do czyszczenia dusz, a małży z takich muszli nie jedzono w obawie przed śmiercią. Dzisiaj domy tahitańskie udekorowane są girlandami kwiatowymi i muszlowymi. Muszle można zobaczyć wszędzie. Na brzegu oceanu nanizane na żyłki nylonowe zwisają z belek domów, ozdabiają drzwi, ramy okien, tworzą wszędzie girlandy i żyrandole. Są w kościołach, szkołach itp. Muszle ozdabiają pomniki na grobach i siedziby urzędów.

Girlandami muszlowymi wita się przylatujących turystów i gości. Na lotnisku tahitańskim w Faaa, młode dziewczęta zakładają każdemu przybyszowi na szyję girlandę i obdarowują go pocałunkiem.

Twórczość dawna, kiedy muszla była cząstką życia każdego Tahitańczyka, zaginęła bezpowrotnie. Muszlę wyparły narzędzia Europejczyków, którzy przywieźli na Tahiti siekierę i narzędzia do gospodarstwa domowego.

Szczęście, że wśród Europejczyków znaleźli się mądrzy etnografowie, którzy robili wszystko, aby przywrócić Tahiti chociażby cząstkę dawnej świetności folklorystycznej.

Taką osobą okazała się pani Anna Lavandes, etnograf, która sporządziła szczegółowe katalogi dawnych wyrobów i nakłoniła tubylców do kontynuowania starych rzemiosł.

Na Tahiti powstały specjalne domy przeznaczone dla artystów ludowych. Zręcznymi rękami kobiety wyrabiają tam na oczach turystów kompozycje z muszli: bukiety kwiatów, miniaturowe zwierzęta, torebki damskie, wisiorki, kolie, naszyjniki, puchary.

Pod wpływem inspiracji turystów, tahitańscy twórcy zerwali nawet z dawną monotonią, wykonują teraz często ładniejsze i bardziej zróżnicowane przedmioty.

Znawcy twierdzą jednak, że to pozorne piękno spowodowało zatracenie pierwotnych cech wyrobów, cech prymitywizmu, ale jednocześnie i oryginalności.

Kiedy rankiem spacerowaliśmy po wybrzeżu oceanu, wszędzie spotykaliśmy zbieraczy muszli. Ocean w ciągu nocy wyrzucał tysiące okazów. A nigdzie na świecie tak pięknych muszli, jak na Tahiti, znaleźć nie można.

Tekst i fot. Bronisław Dostatni

2

1. Duża, biała muszla zamykając się może przeciąć ofiarę
2. Muszle w sklepie prowadzonym przez poławiaczy muszli i pereł

3

3. Ozdoby z muszli
4. Muszle z perłami przygotowane do obróbki
5. Czerpak z muszli

4

5

1

Wirówka

Wokół każdego pola z cyfrą wpisz zgodnie z ruchem wskazówek zegara 5 ośmioliterowych wyrazów o podanych niżej znaczeniach Początek wpisywania każdego wyrazu w lewej górnej kratce oznaczonej kreską
1. niejedna czeka cię w czasie wakacji, 2. inaczej forteca, 3. służy do czesania, 4. na naszej narodowej fladze sąsiaduje z bielą, 5. może być osobista lub pościelowa.

J. S.

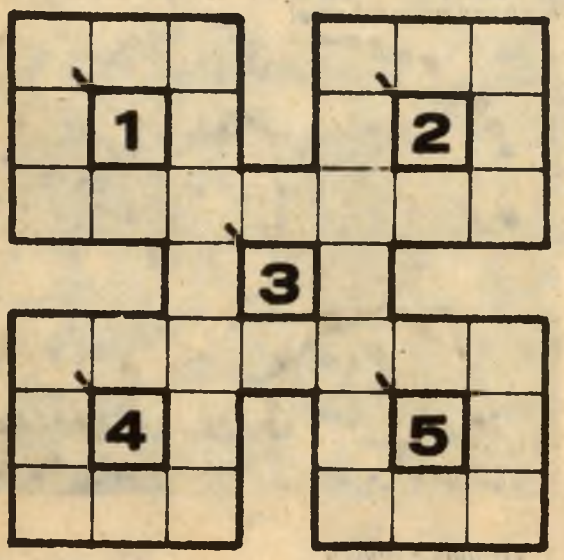

Zagadka

Po liściu chodzę
na jednej nodze.
W suszę — spać muszę.

W.S.

Rozwiązanie zadania ze str. 20

W jaki sposób można dowiedzieć się, ile wielbłądów miał Haszim Abajdulin? Najłatwiej chyba drogą prób.

Weźmy na początek najmniejszą liczbę zwierząt. Ani przy jednym, ani przy dwóch wielbłądach zadanie nie ma rozwiązania. Prześledźmy więc z kolei, co by się działo, gdyby Abajdulin miał trzy wielbłądy.

Po załadowaniu na dwa wielbłądy po dwa kosze, dla trzeciego wielbłąda towaru już nie wystarczyło. Natomiast jeśli spośród czterech koszy załadować na grzbiet zwierzęcia po jednym, wówczas jeden kosz z ceramiką pozostałby na ziemi. Aby i ten kosz dostarczyć do Chiwy, należy wypożyczyć dodatkowe zwierzę. Wszystko to zgodne jest z treścią zagadki. Dla przetransportowania przez pustynię wszystkich koszy z płytkami majolikowymi Abajdulin potrzebuje więc czterech wielbłądów.

Anagram

Zapewne bez trudu odgadniecie nazwę tej figury. Ma wszystkie boki równe. Z liter jej nazwy ułóżcie 10 nowych wyrazów.

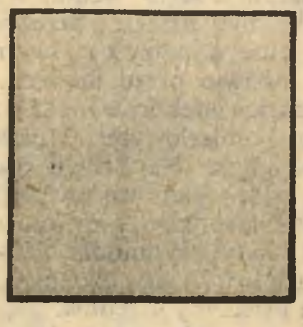

Zgadnij, co to jest?

1
Okrągłe, zielone
rosną nad zagonem,
złocą się, a w jesieni
każdy się czerwieni.

2
Z wapienia, piasku i sody,
czysta, przezroczysta,
do mleka, do wody.

3
Pączek otula biała koszula,
jedna, druga, trzecia...
Złocistą zdjąłem z wierzchu,
płakałem do zmierzchu.

W. S.

Ukryte ptaki

W tych zdaniach ukryte są nazwy różnych ptaków. Odszukajcie je.
1. Kazię bardzo ucieszył ten prezent.
2. On ma masę pocztówek i znaczków.
3. Morze ładnie szumi.
4. Zbieraj jagody do koszyka.
5. Za kilka chwil gajowy wróci z obchodu.
6. Dzwoni echo wśród skał.
7. Nagi las okrył się zielenią.
8. Ten towar czeka na reklamę.

NASZ ZWIERZYNIEC

HOMRAJ

Dzioborożce, do których należy homraj, odznaczają się pokaźnymi dziobami. Na części górnej dzioba mają specjalną narośl rogową. Ma ona różne kształty u poszczególnych gatunków. Dzioborożce żyją w Afryce, Australii, Indochinach i na Sumatrze — na terenach mniej bogatych w ptaki, a więcej w gady i płazy. Istnieje tam obfitość węży, poczynając od pytonów, a skończywszy na mniejszych o nadrzewnym trybie życia.

Są to ptaki duże, mające do 1,5 metra długości. Mimo dużej masy ciała samice składają jaja w dziuplach i tam je wysiadują. Na ten czas samiec zamurowuje samicę specjalną zaprawą murarską składającą się z gliny, mułu i własnych wymiocin. Samica również pomaga od środka w budowaniu tego muru. Pozostawiony jest jednak otwór, przez który samiec karmi uwięzioną. Samica dzioborożca toko białogrzbietnego przebywa w takim więzieniu przez dwa miesiące. Zaobserwowano, że samiec w tym czasie karmi ją 30—40 razy, czyli przeciętnie co drugi dzień. Wszystkie samice siedząc w dziuplach pierzą się, to znaczy zmieniają stare pióra na nowe. Stare upierzenie służy zapewne lepszemu ogrzaniu piskląt. W oznaczonym czasie samica sama silnym dziobem rozwala mur i wydobywa się na wolność. Pozostawione w dziupli pisklęta, niezdolne jeszcze do samodzielnego życia, czym prędzej zamurowują się zlepiając resztki muru własną śliną. Zostawiają również mały otwór do karmienia. Wszystkie te zabiegi służą zabezpieczeniu piskląt przed groźnymi wężami, żabami i jaszczurkami.

Najsympatyczniejszym wśród dzioborożców jest homraj. Ma ogromny żółty dziób. Ozdobą jego są szczeciniaste rzęsy w powiece górnej. Jest czarno-biały. Obie te barwy układają się naprzemiennie w poprzeczne pasy na całym tułowiu ptaka, co widać szczególnie na ogonie. Krótkie stopy ukryte są w białych, puszystych piórach.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 150 zł,
półrocznie — 300 zł,
rocznie — 600 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (redaktor graficzny), Teresa Wilk-Białożej

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Flisak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zdzisław Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1986 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.

Zam. 2776/87 D-9
Nakład 300.370 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

HOMRAJ

Fot. Michał Wlaziński

CENA 25 ZŁ